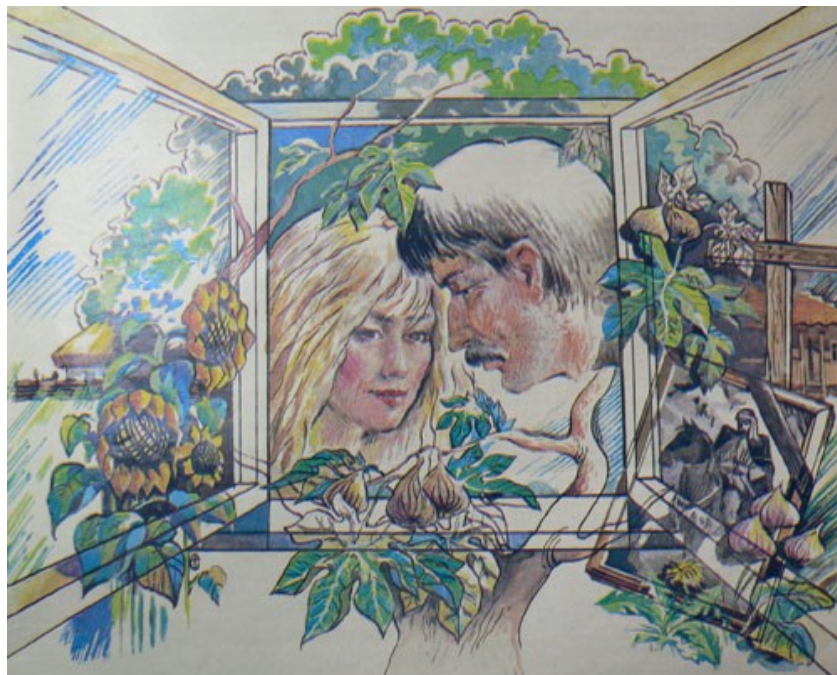


**MISTRZ**  
*Denis Czaczchalia*



Kurs wykładów z teorii dramaturgii filmowej prowadził na naszej uczelni znakomity reżyser, twórca najlepszych w kraju filmów o wodzu proletariatu i rewolucji. Ten profesor instytutu kinematografii co roku miał przez semestr wykłady w naszym Instytucie Literatury, gdzie kształcił przyszłych pisarzy w najbardziej przodującej, w jego mniemaniu, dziedzinie sztuki.

Jako znakomity specjalista, zaproszony ze znakomitej uczelni, w dodatku z pokrewnej wprawdzie, ale mimo to innej dziedziny sztuki, zachowywał się w Instytucie Literatury swobodnie, by nie powiedzieć — bezczelnie. Być może była to swoista samoobrona filmowca w obozie pisarzy. Ale pewna moja znajoma na podstawie własnych obserwacji zapewniała mnie, że jest to cecha zawodowa ich branży, i nie trzeba po prostu zwracać na nią uwagi.

Ponieważ na uczelni literackiej nie było żadnych specjalnych pomocy naukowych do prowadzenia wykładów z dziedziny sztuki filmowej, profesor polegał całkowicie na własnym doświadczeniu wykładowcy i nadawał zajęciom kształt porywających opowieści o najlepszych dziełach kinematografii światowej.

Zwłaszcza udawały się mistrzowi bijatki. Opowiadając o długotrwałych, nierzadko grupowych bitwach z gangsterskiej skarbnicy Hollywoodu, zdierał z siebie marynarkę, ciskał ją gdzieś w bok i, strzelivszy szelkami w pierś, dosłownie rzucał się w wir walki — to udając bijącego, to wcielając się w bitego, zbierającego cięgi. Towarzyszyły temu różne efekty dźwiękowe i odgłosy, które wspaniale imitował swymi wyćwiczonymi strunami głosowymi. Były tu i krzyki rozpacz, i krzyki sadystycznego szału, i jęki torturowanego. Wszystko tak dynamiczne i tak wyraziste, że odnosiło się wrażenie zupełnej lub prawie zupełnej autentyczności.

Następnie, dwa lata później, na ekrany radzieckich kin wszedł jeden z amerykańskich filmów, które opowiedział nam profesor. Nie znałem nawet tytułu filmu i nic nie podejrzewając i nie mając przedsmaku tego, co mnie spotka, siedziałem sobie w prawie pustej sali kina i czekałem na początek seansu.

Jak tylko na sali zgasło światło, na ekranie, przy cichych dźwiękach muzyki, pojawiły się pierwsze napisy w języku angielskim z imionami i nazwiskami twórców filmu. Sam film jeszcze się nie zaczął, ale już wiedziałem, że

jest to film amerykański o zdemobilizowanym chłopaku, film, który opowiadał nam mistrz. Chuligani biją chłopaka na oczach pasażerów nocnego metra i śmiertelnie ranią go nożem. Zdemobilizowany żołnierz zbiera resztki sił i uderzeniem swojej złamanej i unieruchomionej w gipsie ręki zabija jednego z chuliganów.

Znałem tę błyskotliwie opowiedzianą historię i w sensie fabularnym oglądając film niczego nie zyskiwałem. Ale w czasie projekcji byłem przejęty. Było to jak gra hazardowa, której przedmiotem jest nieustanne porównywanie tego, co pozostało mi w pamięci z opowiadań mistrza, z tym, co się działo na ekranie. Ta zbieżność działała jak detonator, toteż co chwila wybuchałem.

Prawie przy każdym frapującym epizodzie podrywałem się z zachwytem, że aktor zagrał tak właśnie, jak nam to pokazał profesor. Jedynie, czego tu nie było, bo nie mogło być, to strzelania profesorskich szelek, zanim rzucał się do kolejnej rundy. To strzelanie widocznie miało przypominać dźwięk klapsa przed kolejnym ujęciem.

Sluchanie opowiadań mistrza sprawiało ogromną przyjemność. Na wykładach ze sztuki filmowej audytorium było przepełnione. Taka frekwencja wydawała się wprost nieprawdopodobna, albowiem na ogół przyszli pisarze dawali wyraz swemu dążeniu do wolności osobistej, opuszczając wykłady w ulubionym zakładzie naukowym.

Notowanie wykładów reżysera było niemożliwe. Trzeba by w tym celu po prostu uzbroić się w kamerę filmową. I w ogóle notowanie wykładów zupełnie nie leżało w demokratycznych tradycjach naszej artystycznej uczelni.

Na krótko przed zaliczeniem ze swego przedmiotu mistrz rozdał nam książeczki z różnymi scenariuszami filmowymi, żebyśmy się z nimi zapoznali i napisali w domu coś w tym rodzaju, ale na dowolny temat. Studentom spodobało się takie zadanie. Gały nasz rok entuzjazmował się tą pracą. Co bardziej praktyczni studenci dowiadywali się nawet, ile to u nas w kraju płacą za zaakceptowany i przyjęty do realizacji scenariusz, żywiąc naiwną nadzieję, że się wzbogacą w wyniku przyszłego sukcesu twórczego.

Słowem, nie było jakby żadnych podstaw, żeby się niepokoić o zaliczenie, w dodatku z przedmiotu nie kierunkowego. Wykłady zostały wysłuchane, szkolne scenariusze filmowe — napisane.

I nagle w korytarzu Instytutu Literatury pojawił się arcy mistrz sztuki filmowej w nastroju nieoczekiwanego podniecenia, brzemienym dla pisarskiej młodzi w nieznaną, niewiadomą, lecz z całą pewnością katastrofalną następstwą. Zapelniliśmy audytorium niczym strwożone uległe stado, żywiąc już podejrzenie, że ściany, w których się znaleźliśmy, to nie przyjazne otoczenie rodzimej obory, lecz złowieszcze odosobnienie podwórza rzeźni.

Tak poirytowanego mistrza nie widzieliśmy nigdy. Jak się nam wydawało, któraś z naszych uczelnianych sław literackich uraziła profesora i ten postanowił zniszczyć rodzaj pisarski, by tak rzec, na pniu, delektując się procesem tego swoistego antypisarskiego ludobójstwa.

Nie traciliśmy jednakże słabej nadziei, że mistrz, odzyskawszy rozwagę i uwolniwszy się od nedorzecznej irytacji, zaproponuje nam położenie na stół indeksów i zacznie, jak to się mówi, «jak z automatu» — bez egzaminu — wpisywać zaliczenia, wielkodusznie życząc nam sukcesów.

Ale cud się nie zdarzył. Oczekiwany «automat» przybrał postać belgijskich automatów z zagranicznych filmów kryminalnych i profesor sztuki filmowej histerycznie cienkim głosem krzyknął do nas: «Odważni — wystąp!»

Do stołu profesora jeden po drugim podchodzili najbardziej pewni siebie studenci, których intelekt nie budził naszych najmniejszych wątpliwości. Profesor od każdego żądał zapisu wykładów", którego nie mieli ani oni, ani inni studenci, z przerażeniem obserwujący swoich przodowników.

Kiedy student-przodownik odpowiadał, że nie ma zapisu, profesor natychmiast zadawał mu pytania z teorii i historii sztuki filmowej. Pytania te były tak trudne, że nasi przodownicy albo nie odpowiadali na nie wcale, albo odpowiadali tak słabo i niepewnie, że wydawali się nam bezradni i upokorzeni. Profesor wpisał im w końcu zaliczenia, ale w zjadliwym uśmiechu, z którym to czynił, można było wyczytać: «Cze-go od was, pisarzy, można wymagać, ciemny z was ludek».

Cztery osoby. To wszystko, co mógł wystawić nasz rok. Resztę pospolitego ruszenia można było wprowadzać do walki dopiero wtedy, kiedy atakuje awangarda. Ale awangarda niemal okryła się hańbą i dlatego pospolite ruszenie było teraz gotowe poddać swoje pozycje i uciekać, gdzie pieprz rośnie. I chociaż czterech naszych przedstawicieli znajdowało się już na tamtym upragnionym brzegu, gdzie stali ledwie żywi, wiedzieliśmy, że wyczyn tych bohaterów przerasta siły pozostałych.

Profesor wziął krzesło, przeciął wolną część audytorium i usiadł przy oknie, rzuciwszy przedtem swoją marynarkę na oparcie krzesła. Po aktorsku opracowanym, pełnym gracji ruchem położył nogi na parapecie.

- No, kto jeszcze? -- zapytał zebranych, do których siedział teraz odwrócony plecami.

Milczeliśmy jak zakłęci.

Drwiąc z nas wyraźnie, profesor z rozkoszą wdychał chłodną rzeškość napływającą do audytorium przez lufcik, jakby pokazując, że nie chce nawet oddychać tym samym powietrzem co te literackie oseski.

Cóż — powiedział mistrz - będę musiał wywoływać według listy. . .

I wtedy zrozumiałem, że wybiła moja godzina. Nie, moje nazwisko nie znajduje się na początku listy. Przeciwnie — jest na samym jej końcu\*. Ale o to właśnie chodzi. Będę musiał obserwować całą tę rzeź do samego finału. Nikt nawet nie zobaczy, jak zginę. Ale nie to jest najważniejsze - wykonawca testamentu nie jest mi potrzebny. Po prostu, skąd wziąć cierpliwość, żeby to wszystko znieść.

- Może ja! — wyrwało mi się nieoczekiwanie. Sam nic tego po sobie nie spodziewałem. Obejrzałem się nawet w nadziei, że zobaczę tego, kto to powiedział. Ale wyczytawszy przerażenie w oczach kolegów zrozumiałem, że właśnie ja wykrzyknąłem te fatalne słowa i ja będę za nie odpowiadał.

Nie wyróżniałem się erudycją, a jeśli nawet coś wiedziałem, nic miało to żadnego związku z kinem.

Zdecydowanym, jak mi się zdawało, krokiem przeciąłem zamarte audytorium i usiadłem przy stole, po którego drugiej stronie powinien był .siedzieć, lecz nie siedział, mistrz. Całe moje zewnętrzne zdecydowanie było jakby odwrotną stroną mego kompletnego wewnętrznego zagubienia. Nie wiedziałem, co czynię, i dlatego nawet się nie martwiłem, że pomyłę kolejność swoich działań.

Profesor nawet nie odwrócił głowy, siedział jak poprzednio plecami do audytorium. Ale ustaliwszy po odgłosie moich kroków, że siadłem przy stole, mistrz krzyknął:

- Indeks, pisarzu!

Musiałem wstać i podejść do profesora, który przyglądał się swoim zagranicznym pantoflom na tle oszronionej szyby okiennej. Podeszedłem do pleców znakomitego reżysera i wyciągnąłem indeks ponad jego ramieniem.

Wręczywszy go profesorowi, z jeszcze bardziej sztuczną pewnością siebie poszedłem na swoje miejsce.

Nie zdążyłem usiąść przy stole, gdy nagle mistrz wykrzyknął: «O-o!» Przeczytał moje nazwisko w indeksie i ucieszył się jak obżartuch, który zobaczył w menu swoje ulubione danie. Mistrz rzeczywiście tak wykrzyknął swoje «o-o!», jakby dawno pragnął spotkania właśnie ze mną, ale nie spodziewał się, że to nastąpi tak szybko i tak w porę.

Moje nazwisko brzmi tak, jak niektóre nazwiska gruzińskie i oczywiście przeczytawszy je w indeksie, mistrz zdecydował, że jestem Gruzinem. W dalszym ciągu patrząc na podwórze zwrócił się do mnie z nutką pobłażliwości w głosie:

- Proszę opowiedzieć o waszym gruzińskim kinie.

Mówić, że to nie «nasze» kino, lecz «ich», jak również udowodniać, że jestem Abchazem i że my, Abchazowie, nie mamy własnego kina — wszystko to teraz nie miało sensu. Intuicyjnie nie dałem się sprowokować i milczałem. Osądźcie sami, co może odpowiedzieć Abchaz, któremu zaproponowano, by opowiedział o swoim gruzińskim kinie.

Profesor uznał moje milczenie za zwykłe studenckie pragnienie usłyszenia bardziej konkretnego pytania. — Proszę opowiedzieć o Szengelaj — zabrzmiała stanowcza propozycja egzaminatora. A ja w ogóle nie chciałem nic mówić plecom profesora, chociaż nie wiedziałem też, co mu powiem, kiedy się odwróci. Profesor ciągle jeszcze siedział odwrócony do mnie plecami, a ja jakbym zaczął sobie przypominać, że we wczesnym dzieciństwie widziałem gruziński film, w którym grała piękna aktorka Ariadna Szengelaja. Po czym zaczęło mi się wydawać, że wśród filmowców gruzińskich jest jeszcze jeden albo nawet dwóch Szengelajów. ale nie zamierzałem ujawniać swoich nędznych wiadomości.

Wreszcie profesor odwrócił się i zapytał z rozdrażnieniem:

- Cóż to, jest pan głuchy?

No i zaczął się koniec świata. Podnosząc się powoli ze swego miejsca i jednocześnie głośno odsuwając krzesło prostującymi się nogami, uniółszy ręce nad głową dobrodusznie oświadczyłem:

- Kachany, ja w życiu kino nie widział!

Wspaniały reżyser filmowy, który spotykał już w życiu takich artystów i takich cwaniaków — i w kinie, i po prostu na ulicy — patrzył na mnie zmartwiały mi oczami człowieka kontuzjowanego. Oczywiście bardzo się bałem, że kiedy oprzytomnieje, bez trudu przyłapie mnie na każdym najmniejszym fałszu.

Profesor potrząsnął głową, jakby chcąc się wyzbyć resztek oszołomienia, zdjął nogi z parapetu, wziął krzesło i usiadł przy stole patrząc mi w oczy.

Twórca krajowej kinematografii, który wraz ze swoim dziecią przeszedł wspaniałą drogę od jej narodzin do światowego triumfu, niezłomnie przekonany, że jego kraj — to szalejący ocean sztuki filmowej, który zalał wszystko od Bałtyku do Wysp Kurylskich, od Morza Północnego do wybrzeży Kolchidy, nagle, u schyłku życia, nie gdzieś tam, lecz na wyższej uczelni (!) w stolicy spotyka młodego człowieka, który nigdy nie widział kina!

Mistrz przyglądał mi się z niepokojem i zastanawiał, jak, jakim fatalnym zbiegiem okoliczności mogło się zdarzyć, że krajowa dystrybucja filmu ominęła tego Kaukazczyka, i analizował autentyzm odkrytego «okazu».

- Skąd pan pochodzi?

Znowu zacząłem wstawać niespiesznie, z łoskotem odsuwając nogami krzesło. Jakby otwierając przed drogiem gościem wrota swego kraju za obłokami, dołączając do słów szeroki zapraszający gest, powiedziałem:

- Z Górny Swanecji, kachany!

Audytoryum zaszlochało ze śmiechu. Była to dziwna wesołość. Uczta podczas dżumy. Wszyscy wiedzieli, że są zgubieni i tą pożegnalną wesołością jakby oplakiwali swój los, oddając wszystkie swe siły neurastycznemu atakowi śmiechu. Ale ani mistrz, ani ja nie słyszeliśmy tego śmiechu. Zapewne tak właśnie arcymistrzowie pochyleni nad szachownicą w decydującym pojedynku o władanie koroną szachową nie widzą i nie słyszą otaczającego ich świata.

Gdyby nawet mistrz słyszał śmiech, mógłby go zrozumieć całkiem inaczej. Jakże się tu nie śmiać. Przecież stoi przed nim homo sapiens, który nigdy nie widział kina. Tak więc śmiejące się audytoryum nie zdradzało mnie, lecz przeciwnie — pomagało profesorowi utwierdzić się w przekonaniu o autentyzmie mojej dzikości.

W ogóle ludzie pochodzący z równin nie wiadomo dlaczego uważają, że im wyżej nad poziomem morza żyje naród, tym bardziej oczywista jest jego dzikość. Górale uważają przeciwnie — dla nich mieszkanie na nizinach jest równoznaczne z nikczemnością, przyziemnością. Nawet w naszej abchaskiej wsi, której jedna połowa znajduje się w dolinie, a druga wspina się na pogórza — ta geograficzna waśń domowa wybucha niekiedy także w gabinetach zarządu kolchozu.

Ma się rozumieć, kiedy mówiłem profesorowi, że pochodzę z Górnej Swanecji, intuicyjnie liczyłem na ten prymitywny schemat, który szczególnie rozpowszechnił się w czasach czterdziestoletnich walk o podbój Kaukazu. Mityczna dzikość górskich narodów usprawiedliwiała okrutną i nieudolną wojnę bohaterów wielkiego mocarstwa. Ten schemat nie stracił barw również w naszych czasach, w przeciwnym razie nie byłoby sensu nim się posługiwać.

Oczywiście, powiedziawszy Swanecja, mogłem nie dodawać — Górna. Przecież także Dolna Swanecja, nawet w stosunku do Wyżyny Wałdajskiej, jest dostatecznie Górna. A jednak słowo «górna» było w tej sytuacji tym błyszczkiem, który rybak zabiera, idąc na szczupaka (taki drapieжник i taki głuptak!)

- I co, nigdy nie widział pan kina? — zapytał profesor z jakąś niezrozumiałą nadzieją.

- Nie-e — odpowiadam, grzechocząc krzesłem i unosząc się nad stołem. — Owca widział. . . pastwisk — widział. . . kino — nie widział!. . .



Profesor szybko zatrzepotał powiekami. Widać było, że stara się podjąć jakąś decyzję. A ja już — trudno powiedzieć, że się boję — niby się przyzwyczajam do tego, zda się, nieznośnie trwożnego stanu. Okazało się, że teraz ja mu dałem zadanie do rozwiązania, a on szuka zbawczej odpowiedzi.

Kątem oka nagle dostrzegam, że mój przyjaciel Sergiusz pochodzący z tych samych stron roni na ławkę łyzy śmiechu, wielkie jak winogrona. Zrobiło mi się ciepło, gdy zobaczyłem ziomka. Zawsze to wsparcie, podpora. Dobrze, jeśli w takiej chwili obok siebie znajdujesz ziomka. Przecież nawet jeśli zdarzy się nieszczęście, on wie, co robić, do kogo się zwrócić, kogo zawiadomić. A najważniejsze, co łączy ziomków, to ziemia — wszystko jedno, cmentarna czy orna — ich wspólna ojczyzna.

Widzę jego łyzy, ale nie słyszę śmiechu. Przecież ja i profesor ogłuszyliśmy się nawzajem. On mnie ogłuszył strachem, że mogę zostać poniżony. A ja jego tym, że nigdy nie widziałem kina. Ot, i siedzimy na przeciw siebie, jak dwoje ludzi po wypadku samochodowym i patrzymy na siebie, ciągle w głębokim szoku.

- Niech mi pan powie, mój drogi, co to takiego scenariusz? — zapytał profesor z prawie przypochebną serdecznością, jakby prosił mnie, bym na chwilę zapomniał o swojej Swanecji i zszedł do niego ze szczytu Uszby ponad obłokami. Zrozumiałem, że mój błyszczek zrobił swoje i szczupak energicznie zaczął odwijać zębna mego spinninga pierwsze metry żyłki. Nikomu nic zadawał tak łatwego pytania i nie zadałby. Co to jest scenariusz, wyobrażałem sobie mniej więcej. Ale jak to wyrazić słowami?! Zamyśliłem się. Szukając jak najtrafniejszej odpowiedzi, widocznie tak się zamyśliłem, że mistrz wyczytał na moim obliczu męki człowieka jaskiniowego, który postanowił wniknąć w podstawy cybernetyki.

Nie trzeba! Nie trzeba! — wykrzyknął, jakby uprzedzając nadmierne napięcie mojego prymitywnego mózgu i jakby usprawiedliwiając się z powodu tego zadania ponad siły. — Niech pan powie, mój drogi, co to takiego utwór sceniczny?

Mistrz uprościł pytanie, wykazując i pedagogiczną giętkość, i życzliwy stosunek do przedstawiciela radzieckiej prowincji za obłokami.

Dopiero teraz, przerażony, uświadomiłem sobie, że mogłem się zdradzić bez reszty, odpowiedziawszy nieźle na pytanie o scenariusz. Wziąwszy pod uwagę to, że omal nie popełniłem gafy, postanowiłem utrzymać się w czekającej mnie odpowiedzi, co to jest utwór dramatyczny, na zawrotnych wyżynach niewiedzy. Przecież mój kraj to głównie krajobraz o wyższym stopniu trudności dla alpinistów.

- Utwór dramatyczny — zacząłem i zgrzytnąłem mózgiem — to. . . rozumiesz. . . sztuka, kachany.. . to karne. . . — Chciałem powiedzieć «komedia». ale profesor przerwał mi.

- Słusznie! — wykrzyknął z zachwytem i po raz pierwszy od czasu naszego dziwnego dialogu spojrzął na audytorium, jakby zapraszając obecnych do podzielenia radości z pedagogicznego sukcesu. «Matko święta, nareszcie. . . przecież sami widzieliście, co z niego wyciągnąłem. Wprawdzie podprowadzałem go do odpowiedzi, ale przecież on też się wysiłał, widzieliście sami!. . .»

Mistrz na chwilę zatrzymał na swojej twarzy grymas satysfakcji. Tak treser, pokazawszy publiczności numer z niedźwiedziem, pozwala jej zachwycać się jego kunsztem i z udaną wielkoduszności;! wkłada do paszczy dzikiego zwierzęcia zapracowany przez nie kawałek cukru.

Profesor otworzył jednocześnie mój bordowy indeks i z pośpiechem złożył w nim swój podpis, jakby rozumiejąc, że tu nie można zwlekać. Wątpliwe, czy potrafiłby wyjaśnić, dlaczego tak się spieszył. Po prostu istnieje trudne do wyjaśnienia odczucie wagi pewnych momentów historycznych, kiedy zwłoka może zaprzepaścić jakąś ważną sprawę.

Profesor trzymał mój indeks w wyciągniętej ręce, zupełnie jakby zamierzał czytać końcowe zwrotki wiersza, o radzieckim paszporcie\*. Odczekawszy pełną niewyraźnej treści chwilę, powiedział tonem ojcowskiego pouczenia:

- Młody człowieku, niech pan zapamięta, proszę, na całe życie, że scenariusz. . . to utwór dramatyczny dla kina.

Teraz zrozumiałem, dlaczego mistrz zmienił pytanie o scenariusz, na które, według jego mniemania, na pewno nie odpowiedziałbym, na pytanie o utwór dramatyczny. Temu, komu się wyjaśniło, co to takiego utwór dramatyczny, łatwiej już wyjaśnić, co to jest scenariusz. Mistrz czuł, że jest to jeden z najlepszych epizodów jego pedagogicznej epepei.

„Scenariusz — to utwór dramatyczny dla kina!” — to hasło jak potężny niezniszczalny czerwony transparent po dziś dzień staje mi raz po raz przed oczami. Ale nie drażni mnie ono tak jak wiele głupich ha-śeł, o które potyka się mój wzrok, kiedy idę uroczymi bulwarami rodzimej Akwy.

Audytorium szalało, ale ja i profesor ciągle jeszcze tkwiliśmy w dźwiękoszczelnym akwariu naszego dialogu. Patrzyłem na swój indeks i dręcząc się oczekiwaniem ledwo panowałem nad sobą, żeby nie wyrwać go z osłabłych rąk profesora.

Profesor, wyobraziwszy sobie widocznie, jak trudno będzie żyć człowiekowi tak oderwanemu od cywilizacji, rozumiejąc beznadziejność swojego losu, powiedział ze smutkiem:

- Tak, bardzo mi przykro, że ma pan takie trudności z językiem. Oczywiście miał na myśli mój język rosyjski.

- Tak, kachany — tu wstałem ze swego miejsca. - Po swansku mówią. . . jak mądry mówią. Po rusku mówią — jak dumny mówią. . .

- powiedziałem z rzeczywiście dzikim akcentem, ale z taką godnością, jakbym przeczytał najlepszy aforyzm z «Witezia w tygryziej skórze».

Już od dłuższej chwili czułem, że zaczyna się we mnie gwałtowne wrzenie mikrobów śmiechu i z każdą chwilą rozsadza mnie coraz nieznośniej, jak beczkę z młodym fermentującym winem. Byłem bliski eksplozji — już trzeszczały nity na moich obręczach, a profesor nie spieszy się. Rozkoszuje się swoim udanym eksperymentem.

Wreszcie zmęczoną ręką wyciąga do mnie indeks, biorę go, nie próbując nawet się uśmiechnąć, ponieważ aż do bólu ścisnąłem język zębami, żeby ten ból nie pozwolił mi roześmiać się na głos. Tu przypomniałem sobie, jak w dzieciństwie, żeby dziadek nie słyszał, że pognaliśmy kozy nad rzekę, a nie tam, gdzie nam kazano, razem z dziećmi sąsiadów zatykaliśmy dzwonki paprocią i bezszelestnie schodziliśmy ku urwistym brzegom Aaldzgi.

Staralem się nie bieć, lecz dojść do drzwi, co mi się chyba udało. Jak tylko jednak znalazłem się za drzwiami, rzuciłem się ku schodom. Przecież nie oddychałem i musiałem nabrać do płuc przynajmniej łyk powietrza. I oto już na klatce schodowej, zatrzasnąłem za sobą drzwi na korytarz, padłem na poręcz i omal nie zwalwszy się ze schodów dałem upust swojemu Śmiechwi. Rozprężyła się sprężyna napięcia.

Wyplakawszy się, wyszedłem na wieczorną zimową Moskwę i ruszyłem bulwarem Twerskim. Towarzyszył mi delikatny, jakby w zamyśleniu proszący gęsty śnieg. Miła mi była biel jego znużenia, współbrzmiała ze mną, jakbyśmy cicho na dwa głosy śpiewali w szczęśliwej harmonii starą abchaską pieśń. Nagle ogarnęło mnie uczucie czułości dla profesora, miałem ochotę wrócić do instytutu i powiedzieć: «Mistrzu, jest pan wspaniałym reżyserem!»

W akademiku położyłem się na łóżku i, spragniony spokoju, postanowiłem się rozluźnić. Nie chciało mi się o niczym myśleć. Zasnęliśmy czy może już spałem, kiedy nagle usłyszałem coraz głośniejszy tupot wielu nóg w korytarzu na naszym piętrze. Nim zdążyłem zorientować się, co to za łoskot — drzwi do mego pokoju otworzyły się i wdarli się przez nie moi szczęśliwi koledzy z roku. Przekrzykując się nawzajem o czymś mówili, ściskali mnie, poklepywali po ramieniu, po czym zaczęli podrzucać pod sufit, jeszcze bardziej utrudniając proces mego powrotu do rzeczywistości.

Okazuje się, że gdy wyszedłem z audytorium, mistrz bez żadnego pytania wpisał wszystkim studentom zaliczenia. Byli szczęśliwi, cud się jednak dokonał. Rzeczywiście, o jakim przepytywaniu mogła być teraz mowa, jeśli profesor sztuki filmowej dał zaliczenie człowiekowi, który nigdy nie widział kina.

Ale przygody samego mistrza na tym się nie skończyły. Kiedy w końcu ulitował się nad studentami, dał im zaliczenia, w towarzystwie starszosty roku, który niósł jego walizeczkę ze scenariuszami, wszedł on do działu edukacyjnego. W obszernym lokalu działu edukacyjnego mistrz demonstracyjnie zgniótł listę, którą trzymał w ręku, i rzucił ją na kanapę, stojącą, obok biurka kierowniczkę.

- Jakich studentów przyjmujecie! — wrzasnął, jakby demaskował przestępczą działalność komisji rekrutacyjnej Instytutu Literatury.

Akustyka obszernego pomieszczenia jeszcze przez pewien czas zachowywała wrzask znakomitego reżysera. Kierowniczkę obserwowała profesora poprzez rozpraszający się dym papierosów, który stale otaczał tę byłą partyzantkę, i nie mogła zrozumieć, co się z nim dzieje. Przerwawszy gwałtownym ruchem ręki blokadę zasłony dymnej, gotowa odpowiadać i za siebie, i za instytut, a jeśli zajdzie potrzeba — również za cały Związek Pisarzy, zapytała:

- No, jakich?

- Po rosyjsku ani be, ani me. . . kina w życiu nie widzieli. . . gdzież wy takich znajdujecie? Kierowniczkę, kiedy dotarł do niej wreszcie ten wrzask profesorskiej rozpaczki, zamyśliła się.

- A kogo to takiego mamy u siebie? — zapytała i popatrzyła na swoją pomocnicę. Ta odpowiedziała wzruszeniem ramion.

- Z Górnej Swanecji — wyjaśnił profesor z demaskatorską nutką w głosie — no, jak mu tam. . . — starał się przypomnieć moje nazwisko.



- Ze Swanecji u nas nie ma nikogo — oświadczyła kierowniczką jak człowiek, który odpowiada głową za sprawy swojej kancelarii. Skinieniem potwierdziła to również pomocnica, która prowadziła sprawy personalne studentów.

Profesor był zmuszony podnieść rzuconą listę i rozprostować ją na biurku kierowniczką, co się kierowniczką nie podobało, jak wskazywał wyraz jej odwróconej od mistrza twarzy. Zadymiała jeszcze wścieklej, żeby tytoniowa kurtyna między nią i rozeźlonym profesorem zrobiła się bardziej nieprzenikniona. Ledwie profesor palcem wskazał moje nazwisko i wymówił je w trudno poznawalnej formie — kierowniczką dostała ataku hysterii. Zakrzusiała się dymem — rzuciła na podłogę nie dopalonego papierosa, podniosła się z za biurka i dosłownie upadła na kanapę. Płakała, śmiała się i dusiła jednocześnie. I młoda pomocnica także chichotała, tyle że przestrzegając subordynacji nie dochodziła do tego stanu, do jakiego wolno dochodzić kierownikom. A znakomity reżyser stał pośrodku obszernego lokalu działu edukacyjnego i jakby nie rozumiał, dlaczego się tu znajduje i skąd ten dziwny śmiech.

Usłyszawszy od profesora legendy o studencie, który nie widział kina i nie znał języka rosyjskiego, kierowniczką z początku była jakby gotowa uznać częściowo pretensje profesora. Istotnie, mieliśmy u nas na roku jednego literata ze wschodniego Kaukazu, który zdecydowanie nie władał rosyjskim i był chodzącą przypowieścią. Ale studiował na wydziale dramaturgii i, ma się rozumieć, był w teatrach i kinach swojej republiki. Omawiano jego sztuki w przekładach filologicznych. Kiedy więc profesor wymienił moje nazwisko, chociaż w zniekształconej postaci, kierowniczką nie miała wątpliwości, że mistrz został bezlitośnie oszukany.

- A. . . właściwie, czemu się pani tak rozweseliła? — zapytał zaskoczony profesor.

- Wie pan — zaczęła kierowniczką ocierając łzy niczym kapryśna, choć już starzejąca się młódka — ojciec tego studenta, znany w kraju dramaturg, w swoim czasie studiował u nas na Wyższych Kursach Literatury. Znamy dobrze tę rodzinę, i nie może być żadnych wątpliwości, że ten student widział kino. A co do języka, to chłopak ten pisze i swoje wiersze, i recenzje po rosyjsku. Ma już publikacje. Poza tym jest Abchazem, z Abchazji, a u nich nie ma problemów z rosyjskim. Istnieje raczej problem z własnym językiem, abchaskim — zakończyła wyjaśnienia, kiedy już złapała oddech, zapalając nowego papierosa.

To niewinne wyjaśnienie kierowniczką zabrzmiało dla mistrza jak powszechne bicie dzwonów, które obwieściło światu początek jego końca.

Mistrz szybkim krokiem wyszedł z lokalu działu edukacyjnego, ale dziedziniec Instytutu Literatury opuszczał dość wolno, jakby nie miał się już dokąd spieszyć. Towarzyszył mu starosta, który niósł walizczkę ze scenariuszami filmowymi. Mistrz raz po raz zatrzymywał się nagle, nie wiadomo dlaczego zawsze pod latarniami bulwaru Twerskiego i. jak w szoku, powtarzał wciąż to samo: «Ale mnie ten Abchaz. . . oszukała. Zamiast słowa oszukał mistrz używał czasownika wprawdzie niecenzuralnego, za to bardziej wyrazistego artystycznie z powodu jego naturalności i plastyczności.

Przełożyła Halina Ruszkiewicz

\* Litera «q» (cz) jest w alfabecie rosyjskim jedną z ostatnich.

\* Aluzja do znanego „Wiersza o radzickim paszporcie” Majakowskiego.